

Robert Goorlick

Koniec świata w obrazkach

Teraz i na wieki

I

Ojciec umarł, bo za dużo pił. Sześć lat wcześniej umarła matka, bo za dużo piła. Sam piję za dużo. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Ojca poddano kremacji. Matkę także. Kiedy umarła w pierwszy poniedziałek września na sześć lat przed mężem, on był zbyt wyczerpany żalem, by zorganizować pogrzeb, dlatego prochy czekały miesiącami na półce w zakładzie, aż któregoś wiosennego dnia niespodziewanie odebrał urnę i kazał ogrodnikowi zakopać ją za domem, przy tarasie, gdzie czasem siadamy wieczorami, patrzymy na strumień i chłodzimy się powiewem znad wody.

Grobu nie oznaczono, nikt więc nie wiedział dokładnie, gdzie matka właściwie spoczęła, i ciotka martwiła się okropnie, że nie załatwiono ceremonii pogrzebowej, należytego episkopalnego błogosławieństwa. Na następne Boże Narodzenie podarowaliśmy ojcu żeliwnego jednorozca – matka za takimi przepadała – i ustawiliśmy rzeźbę na marmurowej kuchennej stolnicy mniej więcej w miejscu, gdzie zakopano urnę.

Ojciec był zapewne jedynym człowiekiem w dziejach, który dostał na Gwiazdkę figurę nagrobną. Jednorozec został przystany w skrzyni wielkości pralki i odpakowany, jak należy, w świąteczny poranek – zupełnie jak zestaw kijów golfowych lub coś w tym rodzaju.

Właściwie trudno było nazwać naszą uroczystość pogrzebem, ale przynajmniej prochy matki nie tkwiły już na półce zakładu w towarzystwie nieznanym. Dodajmy, że ona nigdy nie pozwalała nam używać słowa „zakład”, podobnie jak „firany”, „krzaki”, „mamusia”, „dzieciaki” i „podarek” – uważała je za nieeleganckie – nie wiem jednak, jak inaczej określić miejsce, w którym trzyma się prochy po kremacji.

Siostra i ja postanowiliśmy pogrzebać ojca obok matki, to znaczy obok domniemanego miejsca jej pochówku, pod jednorozcem, i urządzić ceremonię dla obojga, żeby matczyzna dusza mogła wreszcie pójść do nieba i nie błąkała się dłużej po eklezjalnym eterze. Ciotkę bardzo to ucieszyło: pogrzeb rodziców w ogródku za domem wydał jej się dużym krokiem naprzód.

Dom ojca, a właściwie mój, był ruiną. Pół roku wcześniej, kiedy przyjechałem z wizytą, usłyszałem w nocy szmer i zapaliłem światło. Trzy spalone szczury w kącie pokoju obwąchiwały moje robocze ubranie, które po powrocie z ogrodu odłożyłem do prania. Rzuciłem w nie książką i ukryły się pospiesznie, ale spotkanie trochę mnie wystraszyło, przeniosłem więc pościel na sofę na parterze. Nad ranem obudziłem się znowu i zobaczyłem inną scenkę – dwa szczury pieprzące się na perskim kobiercu (w dzieciństwie nigdy nie używaliśmy słowa „dywan”, nawet jeśli to o niego chodziło). Cisnąłem w zwierzaki popielniczką, a potem czuwałem, gotując się ze złości, aż ojciec zszedł na śniadanie.

– Dłużej tak nie może być – oznajmiłem. – Na perskim kobiercu matki pieprzą się szczury. Nie może tak być ani dzień dłużej.

Nawet nie odpowiedział, dalej smażył jajka na bekonie, jakby mnie nie zauważył. Podobnie reagował na każdą nieprzyjemną sytuację: udawał, że nic się nie dzieje. Wezwałem deratyzatora. Przyjechał jeszcze tego samego dnia, stanął na środku salonu, wciągnął powietrze w płuca i oświadczył:

– Mają tu państwo groźną inwazję.

Właśnie tak się wyraził, z wielką powagą, jak lekarz informujący pacjenta o śmiertelnej chorobie.

– To może zająć nawet rok.

Do śmierci ojca (która nastąpiła piętnastego sierpnia) inwazja praktycznie została odparta, a przynajmniej nie dawała się we znaki przed zapadnięciem zmroku. W niewietrzonych pokojach długo unosił się zapach martwych szczurów.

Natychmiast po przyjeździe zadzwoniłem do siostry, którą bardzo kocham.

– Jesteśmy teraz sierotami – powiedziałem. – Kto zaadoptuje czterdziestotrzyletniego sierotę?

A potem rozpocząłem przygotowania do pogrzebu.

Ojciec miał wiatę garażową. Samo jej wspomnienie przyprawia mnie o mdłości. Kupił ją u Searsa, żeby trzymać swojego chevroleta nową pod dachem. Chevrolet śmierdział jak diabli, bo poprzedniego lata ojciec włożył do bagażnika śmieci i zapomniał o nich na sześć tygodni. Kiedy przyjechałem do domu, wsiałem do samochodu i prawie się udusiłem. Sprzedałem chevroleta osiem lat później. Nadal śmierdział.

Z tą wiatą garażową był poważny problem. Stała sobie, szpecąc widok – kawałek blachy falistej na lichych słupkach – przed dwustuletnim domem kupionym przez moją babkę przed siedemdziesięciu laty. Prosząc ogrodnika, Claudiego, aby przystrzygł trawę (w następnych dniach miało przyjechać mnóstwo gości i przynajmniej ogród powinien wyglądać porządnie), kazałem mu rozebrać wiatę. Claudie zapytał, czy może ją sobie wziąć. Zgodziłem się, oczywiście. Rozmontował ją i władował na ciężarówkę, która – jak nietrudno było zgadnąć – w żadnym razie nie wcisnęłaby się pod tak niepozorny daszek. Patrzyłem na całą operację zaintrygowany, ale też zadowolony, że wiatą nareszcie zniknie mi z oczu.

Claudie miał zapewne jeszcze inne samochody. Niektórzy mieszkańcy Wirginii lubią trzymać używane pojazdy obok domu, jakby to była część ich nieruchomości.

Siostra, ciotka i ja sprzątałyśmy dom aż do nocy, głównie te pomieszczenia, w których mieliśmy przyjmować gości. Na kuchennym blacie wciąż stały talerze z jedzeniem, na podłodze miska z żarciem dla psa i wszędzie poniewierały się styropianowe pojemniki z barów w rodzaju Long John Silver's.

– Lepkie pajęczyny... – podśpiewywała pogodnie ciotka, atakując sufit miotłą. – Lepkie pajęczyny!

Dużo później odkryłem, że ona i wuj gardzili moim ojcem. Ja zawsze uważałem go za powszechnie lubianego, tyle miał wdzięku (przynajmniej do czasu, kiedy stał się odludkiem, bo wtedy wychodził z domu tylko po pocztę, do biblioteki po stopy kryminałów i do któregoś z fast foodów po coś tłustego na obiad, co następnie czekało na stole do wieczora, aż odgrzał jedzenie i uszczknął trzy kęsy).

Musiał być straszliwie samotny.

Kiedy skończyliśmy sprzątanie, dom nie wyglądał olśniewająco, ale przynajmniej salon i jadalnia zostały doprowadzone do ładu. Jadalnia znajdowała się kiedyś w innym pokoju,

ojciec jednak usunął stamtąd wszystkie meble i wstawił łóżko, żeby nie musieć co wieczór wspinać się po pijaku do sypialni na piętrze.

Wspominam o tym, bo w dniu po jego śmierci zrobiłem coś jeszcze: rozebrałem łóżko na części i oddałem siostrze. Był to nieduży tapczan, na którym sypiała w dzieciństwie. Ojciec spędzał na nim większość dnia: czytał niezliczone powieści detektywistyczne, oglądał telewizję, rozmawiał ze swoim psem, Samem Wellerem, i pił burbona. Nie schodził z tapczanu nawet wtedy, gdy siostra obcinała mu paznokcie u stóp. Łazienkę miał w dawnej spiżarni, w której zainstalowano umywalkę, toaletę i blaszaną kabinę prysznicową. Była to chyba jedyna na świecie łazienka bez jakiegokolwiek ogrzewania i każdej zimy zamarzały w niej rury. Przypuszczam, że ojciec wchodził wtedy na piętro, przynajmniej raz na jakiś czas.

Tamtego dnia zjawiała się żona mojego ojca chrzestnego i przyniosła nam szynkę – całą, jeśli nie liczyć jednego plasterka wyciętego ze środka.

– Zostało nam trochę i pomyśleliśmy, że może się przyda – powiedziała, jakby ośmiogodzinne gotowanie szynki w upał było czymś absolutnie normalnym i jakby jeden brakujący plasterek czynił z pełnowartościowej wędliny niepotrzebne resztki.

Był to nadzwyczaj taktowny przejaw troski. Po żonie ojca chrzestnego przyszedli inni goście – z pakunkami zawiniętymi w papier woskowany, do którego przypięli karteczki z instrukcją, jak długo należy podgrzewać określone danie w temperaturze trzystu pięćdziesięciu stopni. Żałoba najwyraźniej zaostrza apetyt, a ponieważ było za gorąco, żeby stać przy garach, zjedliśmy wszystko. Wiele potraw naprawdę nam smakowało.

Odwiedził nas też, całkiem niespodziewanie, pewien osiemnastolatek z domu na wzgórzu. Okazało się, że od jakiegoś czasu dokarmia psa mojego ojca – czarnego labradora, głupiego jak but, ale bardzo sympatycznego – który nabrał zwyczaju przychodzenia na jego podwórze. Warto zaznaczyć, że Sam Weller nie należał do najchudszych, czemu trudno się dziwić, skoro korzystał regularnie z menu Long John Silver's, Arby's i im podobnych.

Młody powiedział, że jesienią wybiera się na Uniwersytet Vanderbilta.

– To dobra uczelnia – stwierdziłem.

– Mogę zatrzymać psa? – zapytał.

Zastanawiałem się przez chwilę, zdumiony zuchwałością chłopaka, który przerwał nam żałobę, proponując, byśmy się rozstali z przemiłym, dobrodusznym zwierzakiem – zdawałem sobie jednak sprawę, że po powrocie do Nowego Jorku rzadko będę przyjeżdżał do Wirginii. Siostra z kolei miała już dwa psy i dwójkę dzieci. Chłopak nie znał nawet imienia labradora. Gdy mu je podałem, popatrzył na mnie ze zdumieniem. Pomyślałem, że na studiach będzie się musiał jeszcze sporo nauczyć, i pozwoliłem mu wziąć Sama. Zagwizdał, pies przytruchtał do jego boku i odeszli razem przez las. Więcej już psa nie zobaczyłem.

Zjawili się wreszcie zapowiedziani goście. Z Atlanty przyjechali brat i bratowa, ale – jak zawsze – przenocowali w motelu. Byli też goście niespodziewani, między innymi moi przyjaciele z Nowego Jorku, którzy przylecieli mimo złej pogody, żeby pożegnać obcego człowieka – tylko dlatego, że chcieli podnieść mnie na duchu. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Przybyli też dawni znajomi ojca. Siedzieli w odszczurzonym salonie, pili koktajle lub mrożoną herbatę i rozmawiali o zmarłym. Opowiadali zabawne historyjki. Na Południu płacze się więcej na weselach niż na pogrzebach, a ten nie był smutniejszy od

przeciętnego. Sporo anegdot dotyczyło czasów, kiedy ojciec (lub któryś z jego przyjaciół) robił lub mówił na rauszu różne śmieszne rzeczy. Dało się w tym wyczuć trochę melancholii. Ojciec był bardzo popularny.

Salon wyglądał ładnie, ale nie było w nim choćby jednego wygodnego krzesła: wszystkie sprzęty kupowaliśmy w pośpiechu, bez zastanowienia – tanie, niedobre, prowizoryczne. Poza tym tego dnia żar lał się z nieba, a my nie mieliśmy klimatyzacji.

Mój brat nie najlepiej sobie radzi z przeżywaniem żałoby i zazwyczaj usiłuje unikać przynębiających scen, tym razem jednak bardzo się postarał. Sypał jak z rękawa opowieściami o ojcu. Jest prawdziwym mistrzem dykteryjek, człowiekiem szalenie dowcipnym. W zasadzie uderzająco przypomina ojca, tyle że nigdy się nie upija.

Przyjechała najbogatsza mieszkanka stanu Wirginia. Pokonała autem całą drogę ze Wschodniego Wybrzeża i przywiozła wiadro pomidorów z „farmy”, jak się wyraziła, a w rzeczywistości z ogromnego majątku ziemskiego z rezydencją w stylu georgiańskim, którą sobie wybudowała na około trzech tysiącach akrów nad rzeką Rappahannock.

Na Południu po ceremonii pogrzebowej zawsze zaprasza się żałobników na lunch, jeśli pora jest wczesna, a że pogrzeb ojca był planowany na jedenastą, zamówiliśmy panią zajmującą się cateringiem, zresztą jedyną w miasteczku. Obiecała, że przygotuje bułki z sałatką z kurczaka i plastrami naszej gigantycznej szynki, żeby ludzie mieli co jeść. Upał był niemiłosierny.

Wciąż mnie pytano, czy można mi jakoś pomóc. Niezmiennie odpowiadałem, że nie. Po pierwsze, mam obsesję na punkcie samowystarczalności, a po drugie – naprawdę nic nie przychodziło mi do głowy. Wysprzątailiśmy już dom i uporządkowaliśmy sypialnię. Wstawiliśmy tam z powrotem stół i krzesła, tak że wewnątrz wyglądało prawie jak za czasów świetności, zanim ojciec wybrał samotność. Jego ubrania – nieliczne i kiepskiej jakości – włożyliśmy do pudeł przeznaczonych do wyrzucenia. Ani ja, ani siostra nie mieliśmy chwili wytchnienia, co jest normalne po śmierci w rodzinie. A gdy wszystko już było gotowe, słuchaliśmy, co inni ludzie mają do powiedzenia o ojcu, jedliśmy szynkę i po południu jeździliśmy popływać w basenie. Godziny wlokły się ospale. Podczas żałoby człowiek czeka na jakieś wydarzenie, nie uświadamiając sobie, że ono już nastąpiło.

W dniu pogrzebu obudziłem się o szóstej rano i zrozumiałem, że została jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Zamierzaliśmy pochować ojca obok matki, ale nie było gdzie. Nikt nie pomyślał o wykopaniu dołu.

Claudie by się tym zajął. Claudie zająłby się wszystkim. Ale całkiem wyleciało mi to z głowy.

Wstałem, włożyłem podarte dżinsy, stary T-shirt i półbuty, wziąłem łopatę i przeskoczyłem murek, lądując w krzewach bukszpanu (jak już wspomniałem, w domu nie używaliśmy słowa „krzaki”; było nieeleganckie). Przesunąłem jednorozca, ciężkiego i gorącego od słońca, i zacząłem kopać obok miejsca, w którym – jak przypuszczałem – pochowano matkę. Szybko natrafiłem na urnę z prochami. Zasypałem dziurę, zrobiłem krok w prawo i znowu zabrałem się do kopania. Poprzedniego dnia przeszła nad nami potężna burza, dlatego ziemia była wilgotna i zaskorupiała. Praca mi się dłużyła, płakałem i pociłem się okropnie, bo wieczorem wypilem mnóstwo dżinu. Pociągałem już wtedy prosto z butelki i przez większość czasu byłem kompletnie do niczego.

Raz po raz mierzyłem dół styliskiem, żeby się przekonać, czy jest dostatecznie głęboki. Kiedy uznałem, że wystarczy, odniosłem łopatę, wróciłem do kuchni, zjadłem bułkę z szynką i łyknąłem dżinu, żeby się uspokoić. Wykąpałem się i ogoliłem, włożyłem garnitur

i wyczyszczone do połysku buty, a potem krążyłem po domu, paląc i popijając, w oczekiwaniu na siostrę i szwagra, którzy mieli mnie zawieźć do kościoła na nabożeństwo żałobne. Siostra bardzo się denerwowała, gdy siadałem za kierownicą – zresztą zupełnie słusznie.

Kiedy przyjechali, powiedziałem szwagrowi, że chciałbym zasięgnąć jego rady, i zaprowadziłem go do świeżo wykopanego grobu. Zapytałem, czy dół jest dostatecznie głęboki. Zaprzeczył, wziąłem więc łopatę, wskoczyłem między krzewy bukszpanu i zacząłem pracę na nowo. Pogłębiłem dół mniej więcej o trzydzieści centymetrów, a kiedy szwagier uznał, że to wystarczy, wyruszyliśmy do kościoła. Klimatyzacja w samochodzie osuszyła moją mokrą od potu koszulę.

Przed pogrzebem zawsze zostawia się miejsce na auta rodziny, zaparkowaliśmy więc bez problemu tuż przed drzwiami, weszliśmy i usiedliśmy w pierwszym rzędzie obok wujostwa i stryjostwa. Było to standardowe nabożeństwo żałobne według modlitewnika z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Kiedy się skończyło, wstaliśmy i opuściliśmy kościół gęsiego, zaskoczeni liczbą przybyłych z całej Wirginii ludzi, których nie widzieliśmy od dzieciństwa. Dziwnie było wychodzić tak przed wszystkimi, jakbyśmy brali udział w ślubie bez panny młodej, ale patrzono na nas ze współczuciem, a my uśmiechaliśmy się jak gdyby nigdy nic, bo tak wypada.

Stypę ledwie pamiętam, ale wiem, że się odbyła. Goście jedli sałatkę z kurczaka, pomidory w plasterkach, szynkę i zimnego melona, a dzieci chwytały kanapki i biegły się ochłodzić w strumieniu. Wciąż rozlegały się wybuchy śmiechu. Opowiadano, jak cudownym człowiekiem był zmarły, i jak będzie nam go brakowało. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo nienawidziłem ojca, ale z grzeczności przytakiwałem. Zresztą jaki pożytek przyniosłoby teraz mówienie o moich uczuciach?

Myślałem dawniej, że po śmierci ojca będę skakał z radości. Myślałem, że spadnie mi z ramion straszliwe brzemię. A pogrążyłem się w smutku, podobnie jak moja siostra, która ojca szczerze kochała i troszczyła się o niego, bez względu na to, jaki był odrażający.

O pierwszej większość gości – spoza rodziny – odjechała. Przybył natomiast pastor z urną. Przebrał się w szaty liturgiczne w pokoju obok salonu i byliśmy gotowi na jego: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”.

Rodzina zdołała jakoś się wcisnąć między krzewy bukszpanu, a pozostali goście patrzyli na nas z tarasu. Dzieci w kostiumach kąpielowych, zaintrygowane, wdrapały się na murek: oto krewni i pastor w todze i stule, ściskający szarawą urnę przypominającą naczynie kuchenne.

Duchowny odczytał modlitwy, bardzo krótkie, wymieniając zarówno ojca, jak i matkę – prawie słyszałem, jak ciotka wzdycha z ulgi i żalu po zmarłej siostrze – po czym wręczył mi urnę.

Okazała się zaskakująco ciężka. Sądziłem, że prochy będą lekkie jak popiół z kominka, jak sztuczna bita śmietana, ale byłem w błędzie. Przez matowy plastik dostrzegałem okruchy kości. Trzymałem w dłoniach ojca. Takie było podsumowanie naszej historii. Czułem brzemię nie tylko urny, ale też przeszłości, brzemię gniewu, naszej bolesnej więzi. A myślałem, że mu przebaczyłem.

Nie miałem pojęcia, co zrobić z naczyniem, aż zrozumiałem, że powinienem włożyć je do dołu, który rano wykopałem. Ukląknęłam i uczyniłem to, czego ode mnie oczekiwano. Uniosłem głowę i zobaczyłem wpatrzonych we mnie znajomych ojca, dzieci wyciągające szyje, żeby mieć lepszy widok. Uświadomiłem sobie, że to jeszcze nie koniec.

Zacząłem zasypywać dół. Chciało mi się płakać, ale wiedziałem, jak okropnie by to wyglądało. Poza tym zakopywanie urny przypominało sadzenie rośliny, a sadziłem już tysiące roślin. Moja szlachetna siostra uknęła obok i pięknymi, smukłymi dłońmi zagarniała ziemię, patrząc, jak pył zakrywa człowieka, którego kochała. Człowieka, któremu obcinała paznokcie, strzygła włosy.

Kiedy urna, w której prochy ojca miały pozostać na zawsze, zniknęła, ująłem siostrę za rękę i podnieśliśmy się z klęczek. Zebrani na tarasie nadal nie odrywali od nas oczu, a pastor czekał cierpliwie z końcowym błogosławieństwem. Odwróciłem się, udeptałem kopczyk i postawiłem na nim marmurową stolnicę i żeliwnego jednorozca. Wtedy pastor pomodlił się głośno, żeby Pan nas strzegł, żeby rozpromienił oblicze swe nad nami i obdarzył nas łaską, żeby zwrócił ku nam oblicze swoje i obdarzył nas pokojem, teraz i na wieki.

Zawsze mówię ludziom, którzy opłakują swoich ojców, że żałoba nie przebiega zgodnie z planem. Mówię im, że bez względu na to, jak jesteśmy pewni swoich uczuć, rzeczywistość bywa znacznie dziwniejsza i bardziej skomplikowana, niż umiemy sobie wyobrazić.

Mówię zawsze, że jeśli pragnie się jakiegoś zamknięcia, jakiejś ostateczności, trzeba wstać o szóstej rano i wykopać ojcu grób, a później własnoręcznie go zasypać i udeptać ziemię eleganckimi półbutami.

Ale nie. To nieprawda.

Myślałem dawniej, że demony umilkną. Myślałem, że dzika nienawiść, jaką mężczyźni z Południa nieraz żywią wobec swo-ich ojców – nienawiść zapiekła, straszliwa, nie do opisanania – zostanie mi odjęta i poczuję się wolny.

Nie poczułem się wolny. Nawet przez jeden dzień. Nawet przez jedną cholerną godzinę.